

Krystyna Sajkowska

FRANCUSKI ŚLAD

haveanic **e3ook**.pl

Krystyna Sajkowska

Francuski ślad

Krystyna Sajkowska

Francuski ślad

© Copyright by haveanicEbook.pl

ISBN 978-83-64820-10-6

Redaktor prowadzący
Katarzyna Kłóś

Korekta
Piotr Prachnio

Projekt okładki
Anna Toruńska & haveanicEbook.pl

Skład i łamanie
Katarzyna Kłóś

Wydawca

Wydawnictwo Internetowe haveanicEbook.pl
www.haveanicebook.pl
kontakt@haveanicebook.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy
zabronione.

Wydanie I 2015

1.

Gdyby ktoś mi powiedział, że ubranie, które miałam na sobie składające się z kilku warstw nie da mi upragnionego ciepła, mimo farelki buchającej mi prawie prosto w twarz, nie uwierzyłabym mu. A jednak tak było. Marzło nie tylko moje ciało, ale i moja dusza. Z duszą było trudniej. Rwała się do miłości i szczęścia. Niemądra dusza w ciele 48-letniej kobiety. Z radia miły męski głos śpiewał „Jedna na milion...”. Ciekawe gdzie ta szczęściara? Po raz kolejny dolałam gorącej wody do kawy, która już dawno przestała być nią nawet z nazwy. Życie można próbować zmieniać po trzydziestce, ale zbliżając się do pięćdziesiątki, to już lekka przesada. Spojrzałam w najdalszy kąt stołu, gdzie leżała komórka, od samego rana całkowicie ignorowana przeze mnie. Powiem wprost – chciałam, aby była ignorowana. Tylko dlaczego ciągle o niej myślałam? Na stole, przy którym siedziałam, papierki od cukierków mieszały się z niespiętymi rachunkami, kilkoma brudnymi łyżeczkami i dwiema już nieużytecznymi zapalniczkami. Muszę zrobić porządek – tej myśli przyczepiłam się jak rzep psiego ogona.

Po kilku minutach dotarłam do telefonu, który tak prawdę powiedziawszy był celem sam w sobie. Strzałka na zgaszonym wyświetlaczu pokazywała, że otrzymałam wiadomość. Kilka nieznaczących ruchów i już byłam w menu. Odczytałam: „Rozmowy wychodzące i wysyłanie wiadomości zablokowane. Zasil swoje konto”.

No i po ptakach. Potrzebne mi było robienie tego porządku, jak dziura w moście. A tak po prawdzie, czego ja się mogłam spodziewać? W zasadzie zwiędła i zrozumiała wiadomość. Nie ta co kilka godzin temu: „Jem śledzia w śmietanie, chciałbym go jeść razem z tobą”. Kiedy ją odczytałam, zatkało mnie na kilka minut. Pisarzem to on na pewno nie zostanie, ale ukazywanie tęsknoty do mnie przez mało wyszukaną, choć smaczną potrawę graniczyło z ironią.

Śnieg za oknem już nie padał, ale sypał. To tak, jakby ktoś rozerwał wszystkie pierzyny świata i ich zawartość zrzucił na domy, ulice, drzewa oraz ludzi umykających w miarę szybkim krokiem przez zwały białego puchu. Za drzwiami zamajaczyły dwie

mało widoczne postacie i do sklepu weszła para młodych ludzi. Proste miłe słowa „dzień dobry”, którymi ich przywitałam, umknęły całkowicie uwadze tej dwójki. Beznamiętnym wzrokiem patrzyłam jak snują się po sklepie i czekałam chwili, kiedy sobie pójdą. Przywarli jednak do lady z wyrobami ze złota i coś sobie szeptali z musu, bo tak wypadało, nie z chęci zysku, którego już od dawien dawna nie widziałam. Miłym głosem, którego w tej chwili u siebie nawet nie podejrzewałam, wyraziłam chęć pomocy w wyborze tego, czego sobie wymarzyli. A życzyli sobie pierścionek. Wyjęłam kilka sztuk na ladę i czekałam. W zasadzie scenariusz znałam już na pamięć, byłam pewna, że się powtórzy i nie pomyliłam się. Chłopak usilnie namawiał dziewczynę, której chciał zrobić prezent, na wybranie trochę droższego, z grubszą szyną. Tłumaczył w sposób bardzo miły (notabene w tej chwili, z największą przyjemnością stanęłabym po drugiej stronie lady), że cena pierścionka nie gra tu roli. Dziewczę płocze i na pierwszy rzut oka widać, beznadziejnie, ale z wzajemnością w nim zakochane, opierało się tej propozycji. Koniec tej rozmowy był do przewidzenia. Wybrała najtańszy, najskromniejszy. Twarz młodzieńca wyrażała dumę. Mówiła – kocha mnie, zależy jej na mnie, nie na moich pieniądzach, jestem dla niej więcej wart niż jakiegokolwiek świecidełko. Natomiast twarz dziewczyny mówiła to samo, ale w inny sposób. Nie było w niej dumy, tylko pełne oddanie.

Gdyby zamiast złotego pierścionka dostała lizaka, maskotkę lub cokolwiek mało wartościowego, nie zauważyłaby różnicy. Tak, to była miłość, ta jej najpiękniejsza strona, która nie wymaga, nie karci, nie zazdrości. Tylko jak ją zatrzymać? Niestety, tego będą musieli się nauczyć. Drzwi za młodymi się zamknęły, a ja pomyślałam, jaka czeka ich droga przez mękę.

* * *

Musiałam zacząć coś robić. Czułam, że jeszcze trochę i zwariuję. Rozłożyłam znieawidzone papiery. Nagle kalkulator wydał mi się niewiarygodnie brudny, szyby w ladach pomazane. Mój organizm koniecznie domagał się pójścia do łazienki. To były bardzo ważne sprawy, których nie mogłam odłożyć na później! Zostawiłam

nietknięte papierzyska i w chwili, kiedy swój zamiar miałam wprowadzić w czyn, usłyszałam dźwięk telefonu. Nie pobiegłam, ale wręcz przepłynęłam dzielącą mnie z nim odległość. Chwyciłam mocną ręką słuchawkę, tak jakbym się bała, że ktoś mi ją wydrze. Usłyszałam obcy głos. Nie ten, który bym chciała. Pani z drugiego końca aparatu bardzo grzecznie się przedstawiła.

- Magda Warmińska, Telekomunikacja Polska, czy mogę mówić z właścicielem?

Miała szczęście, że rodzice dobrze mnie wychowali, bo tylko dlatego nie rzuciłam słuchawkę.

- Słucham, to ja - starałam się mówić jak najspokojniej, mając przed oczami wizje dwóch niezapłaconych rachunków.

- Chciałabym przeprowadzić z panią ankietę na temat zadowolenia z usług naszej firmy. Czy pani się zgadza?

- To była muzyka dla moich uszu! Czy ja się zgadzam? Jasne, że tak! - pomyślałam. Mogłam z nią rozmawiać o wszystkim, nawet przez kilka godzin, bylebym nie musiała zawile się tłumaczyć, dlaczego jeszcze do tej pory usługi, z których tak bardzo byłam zadowolona, nie były przeze mnie opłacone.

Ledwo skończyłam rozmawiać, a telefon znów zadzwonił. Tym razem już nie byłam miła.

- Słucham! - warknęłam.

I tu popełniłam błąd. Właśnie teraz powinnam mieć głos płynący prosto z serca. A nie gardłowy, z nutą pretensji do całego świata.

- Co, moja Klara dziś nie ma humoru?

Powiedział to jedno zdanie, a ja w ciągu tej krótkiej chwili zapomniałam o wszystkich pretensjach, jakie do niego miałam. To się nazywa ogłupienie lub jak większość ludzi woli - miłość. Naturalnie, że jest wiele rodzajów tego pięknego uczucia, mniej lub bardziej bolesne, ale nie wiadomo dlaczego najczęściej Igniemy do tego damsko-męskiego. Najtrudniejszego, ale i najprzyjemniejszego.

Zmieniłam ton głosu, zapaliłam papierosa, z którymi walczyłam i ciągle przegrywałam (szyfrowa praca - jak to określił mój syn) i zagłębiłam się w rozmowę, na którą miałam bardzo, bardzo dużą ochotę.

* * *

A wszystko zaczęło się kilka miesięcy temu. Od jednej króciutkiej wiadomości, którą pisałam pięć godzin, a tylko przez nieuwagę wysłałam, zmieniając całe moje dotychczasowe życie. Trudno w to uwierzyć, ale napisałam go do mojego byłego męża, od którego odeszłam dwadzieścia cztery lata temu. Przez te lata nieraz przeleciała mi przez głowę myśl o nim, ale była to myśl z prędkością błyskawicy. Cóż ja mogłam o nim myśleć! Mieszkaliśmy niedaleko siebie, ale widzieliśmy się zaledwie kilka razy. Spotykając mnie zawsze przede mną uciekał. Moje odczucia na temat jego zachowania były jasne: Primo – nie może na mnie patrzeć, padalca jednego. Jak ja mogłam mu to zrobić! Secundo – ma wyrzuty sumienia, wyrzekając się własnego dziecka. Jak się później okazało, trafiłam w dziesiątkę.

Tereska okazała się wykapanym tatusiem. Skończywszy osiemnaście lat, zażyczyła sobie poznania wyrodnego rodzica. Spotkanie tych dwojga odbyło się w iście sensacyjnym stylu. Chociaż byli sobie bliscy, to tak naprawdę nie mieli pojęcia jak wyglądają. Naturalnie żadne z nich nie pomyślało o jakimkolwiek znaku rozpoznawczym. W dodatku mieli się spotkać na jednej z ruchliwszych ulic naszego miasta o godzinie, w której większość ludzi wraca z pracy. Tereska już od dwudziestu minut spacerowała w swojej przykrótkiej spódniczce, bluzce na ramiączkach i w butach na wysokich obcasach. Mówiłam jej, że on był raczej tradycjonalistą, ale nie chciała w ogóle słyszeć, aby choć trochę zmienić swój styl ubioru. Marek od pewnego czasu stał obok zielonej Vectry, którą zaparkował tuż obok bramy jakiejś hurtowni i z rozbawieniem przyglądał się bardzo młodej dziewczynie, która skupiała na sobie zainteresowanie męskiej części przechodniów. Dziwiło go tylko, dlaczego co jakiś czas jej wzrok błędził wokół niego. Zawsze uważał, że niczym specjalnym się nie wyróżnia, a tu proszę, kto by pomyślał. W pewnej chwili dziewczę przekręciło głowę w prawo, zaraz w lewo i szybkim krokiem ruszyło w jego stronę. Pot zaczął mu spływać po skroniach, a zadowolenie, jakie do tej pory było widoczne na jego twarzy, zamieniło się w przerażenie. Oparł się o maskę samochodu i w tym momencie usłyszał:

– Dzień dobry, jestem Teresa. Czy mam przyjemność z panem Romadzińskim?

Oślupiał. Przed nim stała jego własna córka, której nie widział piętnaście lat. Muszę jednak iść do okulisty, pomyślał, kiedy patrzył na łagodniejsze odbicie swojej twarzy. Ciemno brązowe oczy o zarysie migdała, lekko cofnięty podbródek i małe usta. Nos na pewno nie był jego. Taki miała Klara. Siedząc już w samochodzie, próbował się rozluźnić, ale miał z tym dość duże trudności. Tereska, choć robiła nadludzkie wysiłki, aby tego nie okazać, miała ten sam problem.

- Myślę - usłyszał swój głos ledwo go poznając - że mamy sobie dużo do wyjaśnienia. Proponuje, abyśmy mówili sobie po imieniu.

- No to, gdzie jedziemy?

- Niedaleko, może ze 3 kilometry za miastem jest mała, zaciszna knajpka. Pasuje, a może za daleko? - zapytało piękne dziewczę, będące jego córką.

- Co ma nie pasować, pasuje!

Upał był niemiłosierny, więc kiedy ruszyli, poczuli przyjemny powiew wiatru pozwalający im lepiej oddychać. Obydwoje mają impulsywne charakterki. Przede wszystkim, Tereska musiała wyrzucić z siebie to, co przez lata w sobie dusiła. Nie po to jednak się spotkali, aby znów przez naście lat nie rozmawiać, i choć nie było to takie proste, zdecydowali się na zawieszenie broni. Tereska od tamtej pory gościła co jakiś czas u Marka w domu, karmiona tym, co lubi, czyli zrazami wołowymi, spaghetti i gołąbkami w kapuście. Łatwo się domyśleć, że te same potrawy uwielbiał również Marek. Jak ja to mówię - wszystko czerwone.

Pani Ela, druga jego małżonka, naprawdę umiała gotować, jednak gdyby obydwójce wiedzieli, jaki finał będzie tych obiadków, pewnie uwięzłyby im w gardle. Tereska dom swojego tatusia odwiedzała okazjonalnie. Były to zazwyczaj jego imieniny, urodziny lub święta. Z pustymi rękoma nie wypadało jej iść, a swoich dochodów jeszcze nie miała, więc prezenty kupowałam ja. Marek o tym nie wiedział. A ja mogłam się choć trochę zrehabilitować, nie przed nim, ale przed sobą. Mieli jeszcze jedną wspólną cechę: znali najmniej połowę naszego miasta wraz ze wszystkimi ich problemami i tajemnicami. Zupełnie odwrotnie niż ja. O niczym nie wiedziałam, nie słyszałam, a do osoby, która mówiła mi na „ty” odpowiadałam „wy”,

aby się tylko nie zorientowała, że jej nie pamiętam. Świat popadł w kapitalizm, a ja zostałam jako nieliczna w dobie komunizmu.

* * *

Wyłączyłam piecyk, który zaczął wydawać dziwne dźwięki. Miał już swoje lata i całkowite prawo do zepsucia się. W mojej głowie kotłowała się przewodnia myśl – milion za herbatę! Zanim ją jednak mogłam zrobić, musiałam najpierw umyć kubek a to w moich warunkach mieszkalnych wcale nie było takie znów przyjemne. Mycie już samo w sobie nie należy do zajęć przeze mnie ulubionych, dlatego mam w domu zmywarke! Bez bieżącej wody stała się ona bezużyteczna. Zimnej wody nie było z powodu mrozu, przez który popękały rury, a ciepłej zabrakło, gdy zepsuł się bojler. Aby rozwiązać chociaż częściowo ten wodny problem, kupiłam sobie baniak mineralnej w sklepie. Wreszcie, po wszystkich tych perypetiach, upragniony kubek z gorącą herbatą znalazł się w moich rękach. Pijąc małymi łydkami, błądziłam myślami w przeszłości. Nie tej dalekiej, ale tej sprzed kilku miesięcy.

Niech się znajdzie choć jedna kobieta w całym świecie, która nie miałaby obiekcji, stracha, wątpliwości w drodze na spotkanie z byłym mężem. Słyszałam o podobnych spotkaniach, ale nie po prawie ćwierćwieczu. W dodatku lustro mówiło mi to, czego wcale nie chciałam wiedzieć. Specjalnie z premedytacją nie włączyłam światła w łazience, użyłam ciemnych kolorów do makijażu, zczesalam włosy tak, aby twarz była jak najmniej widoczna. Wprawdzie wczoraj naturalnie obowiązkowo wybrałam się do fryzjera, ale to nie poprawiło mi humoru. Pieczołowicie zostały zamaskowane tam moje dość liczne siwe włosy. Niestety, tylko one. Przestałam biadolić dopiero, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że przecież nie tylko mi przybyło lat. I tak jestem młodsza od niego o całe trzy lata! Uśmiezek pełnego zadowolenia pojawił się na moich ustach w momencie, kiedy stanęłam przed szafą. Jak każda kobieta, nie miałam się w co ubrać!!!

Byłam jeszcze na tyle przytomna, że instynktownie odrzuciłam myśl o białym kolorze. Zamknęłam oczy i zobaczyłam to, czego na pewno nie chciałam, aby on

zobaczył. Zobaczyłam całą siebie! To, że i on mógł wyglądać podobnie jakoś tym razem mnie nie zadowoliło. Coś ciemnego, koniecznie coś ciemnego, to jedyna myśl, jaką miałam w głowie. Z bijącym sercem oraz z pewnym drżeniem rąk, przeglądałam to, co miała mi do zaprezentowania moja szafa. Okazało się, że ma mi mniej do zaoferowania, niż myślałam. Ilościowo to może nie ma na co bardzo narzekać, ale za to jakościowo całkowicie się na niej zawiodłam.

- Tak to jest, gdy człowiek sobie wszystkiego odmawia - pomyślałam i ręce mi opadły.

Zatracałam całkowicie poczucie czasu, przymierzałam jedną kieckę po drugiej.

- Czy ty wreszcie zejdziesz? Wiesz, która jest godzina?

Tego głosu nie można było pomylić z żadnym innym. Tak zdenerwowany mógł być tylko mój mąż. Mam w sobie niepokojącą wadę, jakiej panowie nie lubią. Zawsze (i to zawsze) obojętnie o której godzinie zacznę się szykować do wyjścia, nigdy nie mogę wyrobić się na czas.

- Już idę! - odrzyknęłam, co wcale nie było adekwatne do aktualnego stanu przygotowania.

Wygrzebałam z pod stosu walających się po podłodze rzeczy ciemne spodnie i czarny golf. Na efekt końcowy wcale nie spojrzałam. Zabrakło mi czasu!

W samochodzie, do którego wreszcie wsiadłam, panowała niezdrowa atmosfera. Wacusz jak zwykle preferował monolog, którego ani ja, ani Paweł - nasz syn, nie mogliśmy zdzierżyć. Według Wacusia winę za jego wszystkie niepowodzenia ponosi cała ludzkość. On dał z siebie to, co najlepsze, starał się, a my zamiast go wspierać... Tego nie dało się słuchać. Najlepiej było po prostu milczeć. Kiedyś, ale było to dawno temu w zamierzchłych czasach, miałam jeszcze do niego cierpliwość. Wówczas z nim dyskutowałam, tłumaczyłam, jaki to świat zły i niedobry, a ludzie podli. I było tak do czasu, kiedy w trakcie takiej wymiany zdań próbował mnie wyrzucić z jadącego samochodu.

- Mamo, ty przestań się tak denerwować.

Moja najmłodsza latorośl patrzyła na mnie z dużą troską.

- Wypijesz kawę, pogadacie, odpoczniesz wreszcie trochę od ojca, co się tobie jak najbardziej należy. Jesteś jeszcze młoda, na swoje lata nie wyglądasz.

To ostatnie w wypowiedzi Ani dotarł do mnie najmocniej.

- Tak myślisz?

- Oj, mamo! Lepiej już idź, bo się spóźnisz!

- Dobra, to idę. Trzymaj kciuki. Będę za dwie godziny.

Zamykając drzwi sklepu, usłyszałam Pawła.

- Mamo, zrelaksuj się!

Do miejsca umówionego spotkania miałam niedaleko. Sama to miejsce wybrałam. Miało być zacisznie i dyskretnie. Jak się później okazało, trafiłam jak kulą w płot. Było mi okropnie zimno. Raz, bo za cienko się ubrałam, dwa, gdyż nerwy dawały znać o sobie. Sama nie wiedziałam, jak mam się zachować, a co najgorsze, nie wiedziałam, jak on się zachowa. To ja od niego odeszłam, w zasadzie z bardzo błahych powodów. Uświadamiam to sobie dopiero dzisiaj. Doszłam do tego wniosku, patrząc na moje dwudziestoczteroletnie małżeństwo, w którym trwałam, mimo że nie powinno od dawna istnieć.

Miał powód, aby mnie nienawidzić, tym bardziej, iż wiedziałam, że mnie kochał. Zawsze to czułam, nawet po rozwodzie, nawet kiedy przede mną uciekał na ulicy i kiedy zrzekł się praw ojcowskich do Tereski. Miałam ochotę zawrócić, ale kiedy o tym pomyślałam drzwi samochodu, który mijalam, otworzyły się i usłyszałam:

- Dzień dobry. No to wsiadaj.

Marek uśmiechnięty od ucha do ucha zapraszał mnie do środka. Wyciągnął rękę na przywitanie, a ja gapa podałam mu swoją w rękawiczce.

- Tę rękawiczkę to mogłabyś zdjąć - zauważył.

Czułam się tak, jakbym połknęła kij. Stremowana do granic wytrzymałości, udawałam pełny luz. Modląc się w duchu, abym nie zaczęła się jękać.

- To zabieram cię na czarninę - zakomunikował. - Kto by pomyślał - ciągnął dalej nie czekając na moją aprobatę w kwestii krwawej zupy - że po tylu latach znów się spotkamy.

- No, Marek kilka razy mieliśmy tę przyjemność, tylko coś ci się zawsze śpieszyło. Ledwo to powiedziałam, a już pożałowałam. Zapadła niezręczna cisza.

- Ty głupia - gadałam sama do siebie. - A miało być miło i przyjemnie! Dopiero po kilku przejechanych kilometrach Marcuzka odblokowało. Udał, że nie słyszał tego, co powiedziałam i ciągnął dalej.

- Wyglądasz, Klara, tak jak dawniej. Nic się nie zmieniłaś. Tylko przybyło ci trochę siwych włosów.

Czułam jak topniałam pod wpływem jego słów. Co tam włosy, najmniej się liczyły. Ważna była twarz! Zatrzymał auto przed mało mi znanym zajazdem. Pamiętałam go jak przez mgłę z dzieciństwa. Gdzieś tu było niewielkie jezioro. W upalne letnie dni przyjeżdżałam kąpać się w nim razem z moim tatą i siostrami. Marek pochylił się i zaczął grzebać blisko mojej nogi.

- Sorry, ale muszę zabezpieczyć auto.

Ręce mu drżały i ledwo mógł utrzymać dziwny przedmiot. Poczułam jego perfumy i zdziwiłam się, bo były to ciągle te same, co kiedyś. Nie byłam dla niego obojętna, to tak jakby tych dwudziestu kilku lat rozłąki wcale nie było.

Kelnerka z wyuczonym uśmiechem na twarzy przyjmowała zamówienie.

- Może jednak się skusisz na tę czarninę?

Marek nie dawał za wygraną.

- Nie, dzięki. Kawa mi w zupełności wystarczy.

Lokal, w którym siedzieliśmy, był mało przytulny, można by rzec, że wręcz obskurny. Niewygodne krzesła, stół przykryty poplamionym obrusem. Do tego kiepskie oświetlenie i zimno. Rozciągnęłam rękawy swetra, próbując choć trochę ogrzać skostniałe dłonie. Marek zawsze był spostrzegawczy i tym razem zauważył mój ruch.

- Niezbyt tu ciepło - powiedział, i przykrył swoimi rękami moje.

Zrobił to tak naturalnie, że ja spłoszona szybko cofnęłam swoje nie dlatego, że było mi nieprzyjemnie, ale dlatego, że było mi zbyt przyjemnie i to mnie przeraziło.

- Jestem oczarowany! Ty naprawdę nic się nie zmieniłaś. Urodziłaś troje dzieci, a figurę masz jak nastolatka. Zobacz - wskazał na swoją głowę - miałem kiedyś bujną czuprynę, a co z niej zostało?

Patrzył na mnie tymi swoimi migdałowymi oczami, a ja nie wiedziałam gdzie ukryć wzrok. Nagle zapytał:

- Rzuciłaś palenie?
- Skądże - odrzekłam.
- To dlaczego nie palisz? Gdzie masz papierosy?
- Zwyczajnie zapomniałam ich zabrać.

Było to z mej strony wierutne kłamstwo, bo nie zabrałam ich specjalnie. Tego jednak nie miałam zamiaru mu mówić. Był okropnym przeciwnikiem nałogu. Nie chciałam się z nim o to kłócić. Miało być miło i przyjemnie.

- A jakie palisz?

Nie dawał mi spokoju. Przyczepił się tych papierosów jak rzep psiego ogona!

- Cienkie Irysy, klasyczne - powiedziałam cicho, aby skończyć wreszcie temat.

Mareczek nagle wstał i gdzieś powędrował.

- No to po spotkaniu - pomyślałam.

Zawsze był obraźliwy, ale żeby aż tak? Po chwili jednak wrócił, kładąc na stole paczkę papierosów i popielniczkę.

- To sobie zapalimy.
- Ty palisz? - byłam zdumiona.
- Tak, od czasu do czasu - skomentował.
- Proszę, ludzie się jednak zmieniają...

Z niemałą przyjemnością zaciągnęłam się dymkiem. Oj, jak bardzo było mi potrzebne to w tej chwili. Kawa nam ostygła, więc poprosiliśmy o następną.

- O co właściwie chciałeś mnie zapytać?

Zadałam wreszcie pytanie, przez które właściwie doszło do naszego spotkania.

- Klara, ja tego właśnie nie rozumiem. Napisałaś mi, że chętnie odpowiesz mi na moje pytanie, a ja nie wiem o co chodzi...

Był naprawdę zakłopotany. W tym momencie sama się zdenerwowałam. Zwyczajnie wyszłam na głupią.

- Podobno ostatnio, jak się widziałeś z Moniką, tak jej powiedziałeś.
- Nic takiego sobie nie przypominam.

I znów te jego migdałowe oczy tak pięknie na mnie patrzyły.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - ciągnął. - Na to wychodzi, że paluszki w tym naszym spotkaniu maczała moja ukochana kuzyneczka Monika. I dobrze. Pewnie byśmy czekali z tym spotkaniem następne dziesięciolecie.

Jak mocno mi ulżyło, gdy usłyszałam jego słowa. Nie wyszłam na jakąś natrętą babę, a tego bałam się chyba najbardziej. On po prostu cieszył się, że mnie widzi.

- To teraz opowiadaj jak ci się żyło przez te wszystkie lata. Ja zdążyłem pójść na emeryturę, ale tobie to chyba jeszcze nie grozi.

- Mi, Marku, to ogóle nie grozi. Mam to jak w banku. Będę pracować do końca świata i jeszcze jeden dzień dłużej. Nie myśl, że jestem taka pracowita. Ja zwyczajnie nie mam innego wyjścia. Tylko podziękować naszemu rządowi.

- Tak wiem, jesteś bizneswoman.

I znów ten jego uśmiezek.

- Ja sobie nie życzę takich skojarzeń, nawet żartem - odcięłam się znacząco. - Do bizneswoman mi daleko, a tak w ogóle nie mam zamiaru nią być.

Nie cierpiałam tego, co robiłam. Tych problemów, ciągłego przewidywania, z którego i tak nic nie wychodziło, głupich nadziei, że następny interes się powiedzie oraz samotności. Tego już jednak Markowi nie powiedziałam. Za dużo by o mnie od razu wiedział.

- Powiedz mi raczej, jak ci się podoba Tereska?

- Ona jest niesamowita. Nie potrafię za nią nadażyć. Wszędzie jej pełno, ciągle się śpieszy. Zna wielu ludzi i ma dobre serce!

Widziałam, że to, co mówi sprawia mu przyjemność.

- Wolałabym, aby mniej miała tych znajomych. Tę łatwość poznawania nowych ludzi odziedziczyła w genach chyba po swoim tatusiu.

- No, Klara, nie miej do niej o to pretensji, ja już taki jestem. Fakt, im więcej zna się ludzi, tym więcej ma się problemów, żyje się częściowo ich sprawami.

- Dlatego bywa nie raz rozdrażniona i ma tak mało czasu - wypaliłam.

Znów mnie chwycił za rękę, ale tym razem zabrakło mi siły, aby oponować. Byłam na siebie zła, ale dawno nic nie sprawiło mi takiej przyjemności, jak ten dotyk.

- Nie zamartwiasz się tym - mówił, patrząc mi prosto w oczy. - Ona po prostu ma wielkie serce i musi się nim dzielić. A że nie raz dostanie przez to po głowie, takie jest życie. Nie uchronisz jej przed wszystkim.

Byłam zdumiona jego wypowiedzią. Myślałam, że go znam, a przede mną siedział obcy człowiek. Tylko kiedy ja miałam go poznać? W ciągu jednego roku spotkania się, gdzie połowę przesiedziałam w pociągach między szkołą a domem lub w ciągu tych niecałych trzech lat małżeństwa, w którym wyprawka dla dziecka była wcześniej niż ślub? A nasza intymność? W ogóle jej nie było. Pokój przechodni, z telewizorem dla wszystkich i łóżkiem rozkładanym na noc. Moja mama robiła nadludzkie wysiłki, aby dobrze nam się mieszkało. Jednak, jak sama mówiła, młodzi powinni mieszkać sami.

Sięgnęłam po następnego papierosa, aby trochę ochłoniąć. Chciałam mu zadać jedno pytanie, ale okropnie się bałam. Marek spokojnie palił i widać było, że też nad czymś się zastanawia.

- Wiesz co? - zaczęłam mało pewnym głosem, przerywając tę ciszę. - Czy ty masz do mnie żal, że odeszłam?

Serce biło mi jak młot. Wydawało mi się, że rzuci się na mnie teraz, wyzwie od najgorszych i sobie pójdzie. Popatrzyłam na puste stoliki i ucieszyłam się, że prawie nikt nie będzie oglądać tej sceny, naturalnie oprócz kelnerki, która, chyba z nudów, w bez szelny sposób, bez skrępowania nas właśnie obserwowwała. Usłyszałam spokojny głos, na który naprawdę nie liczyłam.

- Na początku bardzo, teraz już nie.

- Ale i ty mi musisz rozjaśnić pewną niewiadomą - zagadnął poważnie. - Czy ty masz do mnie żal, że wyrzekłam się Tereski?

Byłam całkowicie zaskoczona tym pytaniem. Sama sobie je wielokrotnie zadawałam, ale nigdy nie pomyślałam, że może również jego ono tak gnębić. Siedział przede mną skruszony, z wyrazem niepokoju na twarzy, jak ja przed chwilą. Tym razem moja dłoń powędrowała do jego dłoni.

- Na początku tak – szepnęłam. – Teraz już nie.

* * *

Byłam tak zatopiona w myślach, że nie zauważyłam klientki, która próbowała mi coś wytłumaczyć od pewnego czasu.

- Bo widzi pani, tak jak mówiłam, nigdy nie zdejmuję kolczyków, nawet do spania, a dałam się namówić szwagierce tylko jeden raz. Po co ja ją posłuchałam. Niech pani zobaczy, co z nich zostało.

To, co położyła na ladę przedstawiało obraz godny pożalowania.

- Przykro mi, ale tego na pewno nie da się już naprawić. Nie rozumiem, jak pani mogło się to stać?

Kobieta nadal bardzo przejęta zaczęła swoją opowieść.

- Zadzwoił telefon. Stoi obok mojego łóżka, bo Józio nerwowo reaguje na jego dźwięki, kiedy śpi. Józio to mój mąż – wyjaśniła. – Sama byłam ledwo przytomna, bo wczoraj mieliśmy gości. No rozumie pani – długo siedzieliśmy, trochę pogadaliśmy. Coś się zjadło, no i wypilo – tu porozumiewawczo mrugnęła do mnie okiem.

Dopiero w tym momencie jej się przyjrzałam. Była lekko po pięćdziesiątce, miała wielkie brązowe oczy, a zamiast brwi zrobione na szybko w kolorze czarnym zwyczajne kreski. Kolor brwi bardzo odbiegał od koloru włosów. Brak czapki na jej rudowłosej głowie uwidaczniał ten kontrast. Przekonana, że ją zrozumiałam, ciągnęła dalej.

- Ręka mi się trzęsła ze zmęczenia i nerwów – kontynuowała. – Zamiast słuchawki chwyciłam wazon z kwiatami, który się przewrócił, a ja wyskoczyłam z łóżka jak oparzona, cały czas myśląc o Józku. Serwetka, na której stał wazon, telefon i kolczyki, znalazły się na podłodze, a ja razem z nimi. Niestety nie dźwignęły mojego ciężaru.

Tu spojrzała przepaszająco na mnie, tak jakbym to ja była ich właścicielką, a nie ona. Mój wzrok powędrował po jej figurze. Jak nic bez ciuchów ważyła ze sto kilo. Wreszcie pojęłam problem tej sytuacji.

- Mogę jedynie zaproponować kupno tego, co z nich zostało. Będzie to jednak niewielka rekompensata.

- Ale ja tak nie mogę, rozumie pani!? Co powiem mężowi?

Patrząc na jej twarz zrozumiałam, że bardziej boi się reakcji męża, niż straty swojej biżuterii. Wyciągnęła szarą kopertę z lewej kieszeni płaszcza i pieczołowicie, kawałek po kawałku, schowała cenny kruszec.

- To ja pani bardzo dziękuję, ale jeszcze się zastanowię. Drzwi sklepu zamknęła starannie i tak cichutko, że gdybym jej nie widziała, nie zorientowałabym się.

Moja „papierologia”, jak mawiają powszechnie ci, którzy nie mogli nosić miana księgowych nazywali wykonywanie żmudnych prac obliczeniowych, leżała nietknięta pod ladą. Niech sobie jeszcze tam poleży. Postanowiłam i odłożyłam ten problem na jutro, niczym bohaterka „Przeminęło z wiatrem”. Dzisiaj za bardzo jestem zmęczona.

* * *

Mojej relacji ze spotkania z Markiem byli ciekawi wszyscy wtajemniczeni w sprawę.

- No, mam opowiadać - naciskała Ania z Pawłem, jak tylko wróciłam.

- Kochane, co ja mam wam mówić? Jak widzicie, jestem cała. Nikt nikogo nie pobił, było miło i przyjemnie.

- To widać po twojej rozanielonej twarzy - podsumował mój syn.

Ledwo zdjęłam płaszcz, zadzwonił telefon.

- Już na pewno teraz dzwoni Teresa - krzyknęła Ania. - Dobijała się już trzy razy - skomentowała.

Ania miała rację. W słuchawce usłyszałam stanowczy głos drugiej córki.

- To teraz proszę o obszerną relację. Klaro, długo ciebie nie było, więc na pewno masz co opowiadać.

Teresa jest moim jedynym dzieckiem, które mówi mi po imieniu. Robi to jednak w taki sposób, że nie można się na nią za to gniewać. Nie dała się zbyć jak reszta jej rodzeństwa. Życzyła sobie wielu szczegółów typu: gdzie patrzył? Jaką miał wówczas minę? Jak na to zareagowałaś? To on pali? A na koniec zapytała:

- To kiedy się znów spotykacie?

- Tereska, o tym nie było mowy. Napomknęłam tylko, kiedy się żegnaliśmy, aby się kiedyś odezwał. Ale znając go pewnie tego nie zrobi. Myślę, że nawet gdyby miał na to ochotę, nie wiedziałby jak do czego zacząć. Taki typ. - W słuchawce usłyszałam westchnienie potwierdzające moją diagnozę.

- A teraz mów, jak sprawa twojego rozwodu. Wreszcie wyznaczyli datę rozprawy?

- Mówi się o biurokracji w Polsce - zaczęła - ale w Niemczech jest ona dwa razy większa. Sprawa dopiero za miesiąc. Pocieszające jest to, że Hans podpisał papiery, w których zobowiązuję się do spłacenia wszystkich swoich długów. Adwokat twierdzi, że powinnam dostać rozwód na pierwszej rozprawie.

- A nie chciałabyś wrócić do Polski? Masz skończoną szkołę i tu, i tam, znasz dobrze język - w telefonie zaległa cisza. Po chwili usłyszałam niepewny głos Tereski.

- Mamo, jeszcze zobaczę jak mi się ułoży.

* * *

Cofnęłam się pamięcią o pięć lat. Był niesamowity upał. Można powiedzieć, że muchy padały od gorąca. Nawet moim zwierzakom nie w głowie było wychodzenie na dwór. W taki to dzień zamiast dać mojej rodzinie spokój zagnałam wszystkich do gruntownego sprzątnia. A było co robić - 230 metrów kwadratowych powierzchni. Pod koniec tej harówki już nikt ze mną nie rozmawiał. Żal i pretensje do mnie aż były z ich oczu. Czy to moja wina, że właśnie taki dzień wybrał sobie mój przyszły zięć na odwiedzinę? Zawsze słyszałam, że naród niemiecki jest przesadny co do czystości. Co ja biedna miałam zrobić? Przez te porządki nie starczyło mi czasu na obiad. Nie wiem co mnie podkusiło, ale wyjęłam kurczaka z zamrażarki i ugotowałam rosół. Po obiedzie nie tylko nikt na mnie nie patrzył, ale nikt ze mną już nie rozmawiał. Hans przyjechał kwadrans po piętnastej. Wysoki, dobrze zbudowany, o jasnych włosach

i niebieskich oczach. Nie wiem czy mnie rozumiał, ale ciągle się uśmiechał i mówił „no problem”.

Chrzest bojowy przeszedł, gdy dostał obiad. Oj, ciężko mu się jadło! Nie dosyć, że miał trudności w nabieraniu za długiego makaronu na łyżkę, bo zapomniałam go pokroić, to jeszcze pięć par oczu patrzyło w niego jak w obraz. Nie wspomnę, że pot biedakowi leciał za każdym razem, kiedy przełykał gorącą zupę w iście tropikalnych warunkach. Wątpię, aby się najadł, ale kiedy zaproponowałam mu na migi kurczaka, wstał bardzo gwałtownie klepiąc się po brzuchu i kiwając głową, co miało znaczyć, że jest tak najedzony, iż nic już nie przełknie. Pamiętam jego oczy. Nigdy później takich wystraszonych oczu u nikogo nie widziałam.

* * *

Byłam bardzo zdziwiona swoimi wrażeniami po spotkaniu z Markiem. Naturalnie nikomu o nich nawet nie wspomniałam. Nie potrafiłam o nim przestać myśleć. Po tylu latach zauroczył mnie sobą. Takiego zauroczenia, jak sobie przypominam, nie odczuwałam nawet za pierwszym razem. Co tu mówić, w ogóle go nie było. Na pierwsze spotkanie zostałam prawie siłą wypchnięta przez moją mamę. Miała to być kawa, że tak powiem, dziękczynna za pomalowanie liter na nagrobku u mojego taty. Chłopak wcale mi się nie podobał. Mój ideał to blondyn o niebieskich oczach, wysoki i szczupły. Marek – typ ciemnego południowca, był ode mnie tylko trochę wyższy, za szeroki w barkach i zamiast oczu niebieskich miał brązowe. Wszystko nie tak jak sobie wymarzyłam. I co teraz? Po dwudziestu czterech latach zamieniłam swój ideał albinosa na południowca. Podobnie miała Teresa. Z blondyna przerzuciła się na czarnego. Zrobiła to jednak po pięciu latach, a nie, tak jak jej matka, po ćwierćwieczu.

Miałam wielką ochotę znów się z nim zobaczyć. Myśli o nim przeszkadzały mi w codziennej krzątaninie, musiałam je z siebie wyrzucić. Okłamałam samą siebie, że najlepszą metodą będzie następne spotkanie. Spojrzę na niego, przypomnę sobie wszystko, co mi zrobił najgorszego, powiem mu kim jest, będę czuć do niego wstręt.

Wreszcie zapytam, gdzie był przez tyle lat i wtedy wszystko mi przejdzie. Pierwszy się przecież nie odezwie, miałam jak w banku. Musiałam wymyśleć coś takiego, aby to była jego inicjatywa, nie moja, choć to mi na tym zależało. No i okazja się znalazła.

Przyszły święta Wielkanocne. Jak co roku, przyjechała Tereska. Nie wyobrażała sobie świąt poza rodziną. Trochę było to niezrozumiałe, bo ilość jej koleżanek, które musiała odwiedzić, była większa, niż czas, jaki z nami spędzała. Widzieliśmy ją jedynie w przelocie między łazienką a jej pokojem. Nie było jednak ważne, ile czasu z nami była. Ważne, że z nami w ogóle była. Taki to już z niej typ. Sernik piekł się już ponad godzinę. Chociaż cały czas pomagała mi Ania, ledwo mogłam powłóczyć nogami.

- Kochanie - zagadnęłam ją - a może byśmy się napiły kawy?

- Z wielką przyjemnością - powiedziała uczynnie Ania. - Z ekspresu, rozpuszczalna czy sypana? A może ta nowa, co ją Tereska przywiozła?

- Wiesz spróbowałabym tej nowej, a ty? Jestem ciekawa jak smakuje.

Chwile później w kuchni zapachniało karmelem z odrobiną mgiełki cynamonu. Mało kto by się domyślił, że tak może pachnieć kawa. Stół, przy którym siedzieliśmy przedstawiał obraz jak z pola bitwy. Nie w głowie nam jednak było cokolwiek zmieniać. Przesunęliśmy jedynie to, co na nim było bliżej środka i miejsce na czarny specyfik się znalazło. Gdzieś pomiędzy resztkami mąki a kartonikiem po mleku zabręczała komórka. Tym razem był to wierszyk z życzeniami od mojej siostry. A może wysłać mu taki sam? Niezobowiązujący, aby mu o sobie przypomnieć?

- Ania, jak myślisz, wypada mi napisać do Marka kilka słów na święta?

- Pewnie, że tak - odparła, nie podnosząc nawet głowy znad swojej komórki.

160 znaków zmieściło się bez problemu. Dodałam jeszcze pozdrowienia i koperta poleciała. Aby się uspokoić zapaliłam papierosa. Myśli mi się kłębiły. Odpisze, nie odpisze? A może jednak nie powinnam tego robić? No nie, ja za chwilę zwariuję. Tego byłam pewna. Wstałam tak energicznie, że Ania aż podskoczyła.

- Mama co się dzieje? Sernik się pali?

- Sernik?! - zawołałam.

Zupełnie o nim zapomniałam. Z sercem w gardle dopadłam do piekarnika i wówczas usłyszałam znajome brzęczenie. W tym momencie mój wypiek zupełnie

przestał mnie interesować. Tylko dlatego, że rodzina patrzyła mi na ręce – zastanawiając się czy go tym razem spalę, czy nie – dokończyłam swoją czynność. Fachowym, ale szybkim okiem stwierdziłam, że w ostatnim momencie został uratowany. Ania mojego dziwnego zachowania w ogóle nie skomentowała. Usiadła i ze spokojem znów zaczęła pisać. Ja zrobiłam to samo, ale w odwrotnej kolejności. Jeśli o mnie zapomniał, to sobie teraz przypomni. Czy odpisze, nie miałam pojęcia. Usłyszałam dość głośne zamykanie drzwi wejściowych i po chwili do kuchni wszedł uśmiechnięty Paweł.

– Cześć pracusie! Ale tu bałagan, chyba jakiś tajfun przeszedł.

– Ty się tak tu nie ciesz! – ofuknęła go Ania. – Ten tajfun, jak go nazwałeś, czeka na ciebie. – Na twarzy mojego syna ukazał się wyraz przerażenia.

– Jak umyjesz podłogę, to ta przyjemność cię ominie – odezwałam się. Było mi go naprawdę żal.

– Mamo, naprawdę mówisz serio? – W jego tonie wyczuć można było nadzieję.

– Jasne, że tak.

– A płyn do podłogi kupiłaś?

– Piękny cytrynowy. Mój synu, zabieraj się do roboty!

Szybciej wyszedł, niż przyszedł. Ania wcale się nie odezwała, tylko wymownie spojrzała. Wiedziała, że mu się znowu upiecze.

Sięgnęłam po papierosa i w tej chwili rozbłysła komórka. Jednak dla rozluźnienia najpierw zapaliłam, a dopiero później sprawdziłam, co było tego powodem. Stary Siemens, to spadek po moim już byłym zięciu. Najpierw miałam go w języku niemieckim, ale któregoś dnia Paweł zlitował się i przeprogramował go na język angielski. Do tego języka Szekspira nie przyznaje się, abym kiedykolwiek miałam z nim styczność. Z języków obcych nie jestem dobrą, ale jakieś tam skojarzenia z nim związane jednak pozostały. Na pewno zadowolony z tego byłby mój profesor. Kiedy pytał się mnie „Jak idzie tobie Czaplińska nauka języka?” – odpowiadałam bez wahania: „Nadrabiam, panie profesorze, nadrabiam”.

Dobry z niego był chłop. Wiedział doskonale jak oszczędnie byłam uzdolniona, dlatego zawsze pytał mnie z ławki. Dzięki pomocom naukowym i zaangażowaniu

całej klasy oraz pewnej głuchocie, na którą zapadał w trakcie odpytywania, dostawałam stale tróje.

Zaciągnęłam się jeszcze raz papierosem i odczytałam wiadomość: „Dziękuję za życzenia, śle je również. A może byś tak do mnie przyjechała? Poznasz moją żonę i resztę rodziny?”.

Z wrażenia papieros wypadł mi z ręki i spadł na resztki masła walające się gdzieś na stole. Wyjmując go potrąciłam filiżankę z kawą. Co za idiotka ze mnie, dobrze mi tak. Po co ja do niego pisałam i co ja sobie wyobrażałam! – pomyślałam.

– Aniu pomóż mi posprzątać, nie widzisz jak tu wygląda? Ta ręka tobie przyrosła do komórki?

– Mamo, coś ty taka nerwowa?

Mówiąc to podniosła głowę, a jej jasno blond włosy rozsypały się po szczupłych ramionach. Z tych włosów była bardzo dumna. Odwrotnie do jej paznokci, które rosły powoli. Wyhodowanie ich kosztowało ją trzy lata żmudnej pracy.

– Sorry – odezwały się u mnie wyzuty sumienia. – To nie twoja wina. Przeczytaj. Podałam jej komórkę z ostatnią wiadomością.

– Ale jaja – skomentowała. – I czym ty się mamu przejmujesz?

– No trochę głupio się czuje.

– Zupełnie nie potrzebnie. Każdy może wysłać życzenia. Jest to miłe i kulturalne. Dziwne jest to, że ma odwagę cię zapraszać.

– A jak myślisz, dlaczego ja się denerwuję? Właśnie z tego powodu! Wysłałam na idiotkę.

– I co, odpiszesz mu?

Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, bo właśnie lampka się zaświeciła i przyszła następna wiadomość: „Nie odpisujesz, czyżbyś się obraziła na moją propozycję?”.

– Dobra – pomyślałam – grasz w ten sposób, to ja zagram tak samo.

Wkurzona, że zagnał mnie w kozi róg napisałam: „Skądże, niby dlaczego miałabym być obrażona. Chętnie się z tobą ponownie zobaczę, ale nie w rodzinnym gronie. Z przyjemnością znów wypije z tobą kawę.”

Odpowiedź przyszła natychmiast: „Gdzie i kiedy?”.

* * *

Po Wielkanocy przyszła wreszcie wiosna. Więcej ją było czuć, niż widać, ale i tak w człowieku zagościł nowy duch. Słońce świeciło jaśniej i dłużej. Jeszcze nie miało w sobie tego ciepła, a już zimowe buty i płaszcze poszły w ką. Chodząc po lesie w cienkiej bluzce, na którą miałam narzuconą jedynie dżinsową kurtkę, dygotałam z zimna. Natomiast Marek rozczulał się nad pięknym krajobrazu.

- Zobacz, jaki tu panuje spokój. Latem, kiedy jest upał, kładę się na trawie jak najbliżej jeziora i zasypiam. Mój znajomy ma łódkę i jeśli tu akurat jest, wypływamy na połów ryb. Sami je później czyścimy i smażymy.

Mówiąc to miał minę, jakby właśnie kosztował jedną z nich. Obejrzałam jezioro, drzewa, ale nic do mnie nie przemawiało.

- Dzień dobry panu! - usłyszałam pozdrowienie, skierowane przez mojego byłego męża do nieznanej postaci.

- A dzień dobry - mało przyjemnym głosem odpowiedziała postać.

- Widzę, że wędkujemy. Trochę zimno, ale może biorą? - dopytywał Mareczek.

- Co tam biorą! Sama drobnica. Co złowię, wyrzucam z powrotem.

Facet stał po uda w wodzie, ubrany w wysokie buty, czapkę i grubą kufajkę. Odpowiadał lekko przekrzywiając głowę. W pewnym momencie zamilkł. Aby mu nie przeszkadzać, poszliśmy cicho w stronę auta. Buty naturalnie miałam na wysokim obcasie i szło mi się fatalnie. Musiałam starać się, by utrzymać równowagę i omijać gałęzie, które zahaczały o moje włosy. W pewnym momencie poczułam rękę Marka, poprawiającą mi kaptur od bluzki. Powinna być zareagować - ściągnąć jego rękę, oburzyć się, ale nie potrafiłam. To było takie przyjemne!

- Popatrz, jaki ten samochód brudny. Prawie, że nie widać koloru - rozczulił się wkładając kluczyk do drzwi.

- Taki sobie brudasek - odrzekłam.

Co za bezsensowna rozmowa! Każdy z nas myślał zupełnie o czym innym. Było to czuć w powietrzu i doskonale o tym wiedzieliśmy. Byliśmy jednak zbyt skrępowani, aby o tym mówić. Coś mnie do niego pchało z wzajemnością. Czy to niemożliwe po

tylu latach?! W aucie rozmowa w ogóle się nie kleiła. Zupełnie nie wiem z jakiego powodu dałam mu wykład, jaki mężczyzna mnie ewentualnie mógłby zainteresować.

- To ty masz wysokie wymagania Klara. Do takiego faceta, to mi jednak daleko. Pewnie moja skromna osoba nie ma u ciebie szans.

- Kurcze co ja palnęłam! - pomyślałam w panice. - Ale to jest niemożliwe, aby się pogniewał. Owszem, chciałam mu pokazać, że rozwinęłam swoje horyzonty, że jestem wymagająca, ale jednocześnie dać zwyczajnie do zrozumienia, że mi się podoba. Atmosfera wokół nas gęstniała. Czułam, że coś nas gna do siebie. Zbyt dobrze nam było ze sobą. Bałam się tego i nie rozumiałam. Odwrócił twarz w moją stronę i zgasił już zapalony silnik. Delikatnie chwycił mnie za rękę. Jego oczy były poważne, a ręka lekko spocona.

- Klara, co myślisz o powtórnej miłości po dwudziestu czterech latach? Miałam w głowie te same pytanie i ogromny strach, ale jeszcze większą ochotę na to uczucie. Nic nie odpowiedziałam. Moją odpowiedź zobaczył w mych oczach.

* * *

- Zobacz jaki pierścionek, чудо!

- Który? Paluchem zakrywasz i mam wiedzieć, o jaki tobie chodzi. Przesuń tę rękę, to sobie obejrzę.

Rozmowa dwóch klientek dopiero do mnie dotarła, wrywając mnie z głębokiego zamyślenia. Były tak pochłonięte sobą, że na mnie wcale nie zwracały uwagi.

- Dorota, gdybym sobie taki kupiła, dziewczyny zieleniałyby z zazdrości.

- Ładnie byś wyglądała z tym złotym pierścionkiem na placu wążąc ziemniaki lub marchewkę.

- Coś ty! Przeniosłabym się do działu chemicznego.

- I myślisz, że kierowniczka zgodziłaby się?

- No tak, o tym nie pomyślałam.

- A pomyślałaś chociaż za co go kupisz?

Mina jej wskazywała, że nie miała pojęcia. Poprawiła beżowy szalik na niebieskim, krótkim płaszczyku i ponownie wbiła wzrok w upragniony przedmiot. Patrząc na nie przypominałam sobie jak nie tak dawno sama byłam po drugiej stronie lady. Było to nawet wygodne. Nie musiałam się martwić o płatności za towar, rachunki i ten cały bałagan z tym związany. Ale tak, jak wszystko na tym świecie, była też druga strona medalu. Drzwi do sklepu, w którym pracowałam, miały trzy zamki i na dodatek alarm. Trzeba było go wyłączyć w ciągu pół minuty. Ręce mi się zawsze trzęsły, bo nie pamiętałam, który zamek mam otworzyć pierwszy. W nerwach zamiast kodu wyłączającego alarm, chciałam wpisywać numer pin mojej komórki. Każdy dzień był podobny do siebie, z drobnymi niuansami. Jeden z nich utkwiał mi w pamięci szczególnie. Pierwsza klientka poprosiła o gumę.

- Jaką?
- Orbit.
- Ile listków?
- Jeden.
- Proszę, 25 groszy.

Podziała mi stówę. Gdyby wzrok umiał zabijać, mój by tego dokonał. Drugi klient był ciut lepszy. Zażyczył sobie całe opakowanie gum. Jednak przy trzecim ręce mi opadły. Zapach docierał od niego upojny. Ledwo wyszeptał.

- Nalewkę daj pani cytrynową.

Podaliśmy nic nie mówiąc. Był to jeden z nielicznych, nieszkodliwych pijaczków, jaki drogą eliminacji mógł kupować w tym sklepie. Reszta została usunięta. Przed siódmą zrobiła się kolejka. Słysząc było jedynie: chleb poproszę, mleko, 25 dekagramów sera i tak w nieskończoność. Wreszcie, kiedy uporałam się z kolejką, mogłam zamówić towar w hurtowni. Wszystkie zamówienia poszły gładko oprócz jednego, jak zresztą zawsze.

- Słucham - usłyszałam głos jakiegoś sobie nie życzyłam.
- Tu sklep spożywczy - zaczęłam.
- Chwileczkę - dobiegło mnie z drugiej strony. - Muszę poszukać kartki.

Chwila dłużyła się w nieskończoność. Przed moimi oczami zamajaczył las wściekłych oczu.

- Halo! – wrzasnęłam do słuchawki.
- Proszę mnie nie popędzać – odpysknęła rozmówczyni.

Pani przyjmująca zamówienie była wręcz obrażona. Nagle przestała w ogóle ze mną rozmawiać. Gdzieś sobie poszła. Tłum ludzi napierał na ladę. Rzuciłam słuchawkę. Po chwili sytuacja została opanowana.

W sklepie pracowałam na dwie zmiany z Małgosią i Bożenką. Ta pierwsza była nie do podrobienia. Malowała się kilka razy dziennie, nie aby poprawić makijaż. Robiła go zawsze od początku. Jako jedyna nosiła spódniczki, a w szafce miała kilka par butów na zmianę. Codziennie przed pracą myła włosy, które nawijała na wałki. I tak w chustce na głowie jechała autobusem. Fakt jest faktem, że była solą w oku dla każdej z nas. Z klientami dawała sobie radę, gorzej z komputerem, który zagościł w sklepie od kilku tygodni. Faktury były wypisywane na nim do późnych godzin nocnych. Pewnego dnia z Małgosią zostaliśmy zostawione same z tym upiornym urządzeniem. Ciemno zrobiło nam się przed oczami. Przez kilka godzin mozolnie stukaliśmy w klawiaturę, dzwoniąc co chwila do Bożenki. Rozmowy wyglądały mniej więcej tak:

- Jestem na przesunięciu. Zatwierdziłam wszystko, ale jedno mi zostało. Co robić?
- Wrócić i zatwierdzić.
- Nie chce drukować!
- Wejść w faktury i enter, enter!
- A gdzie jest procent? Tutaj go nie ma.

Gorzej, gdy obsługę komputera tłumaczyła Bożence pani Małgosia. Ni w ząb nie mogły się zrozumieć. W tym czasie klienci byli dla nas złem koniecznym. Wręcz przeszkadzali. Pudło z monitorem było dla nas ważniejsze. Długo trwało, nim potrafiłyśmy połączyć jedno z drugim. Jednak strach przed komputerem u Małgosi pozostał. Żadne argumenty z mojej strony w stylu: nie ugryzie, pomyłkę można poprawić, nie wybuchnie, nie zepsuje się, to głupie bydle, które robi to, co chcemy – nie skutkowały. Aby się lepiej poczuć przyniosła sobie okulary i ołówek z gumką.

Dużo to jej jednak nie pomogło. Z umytymi i pokremowanymi rękoma siadała do klawiatury, ale tylko na chwilę. Za moment biegła do telefonu z przestraszoną miną, wołając:

- Co ja zrobiłam!?

Pracowałam od szóstej do dziewiętnastej, więc kiedy wybiła siedemnasta, moje zmęczenie sięgnęło zenitu. Machinalnie kładłam na ladę cukier, masło, sery. Moje oczy już nie rozróżniały kogo obsługuję. Ważne było, aby był kolejny klient.

Pewnego dnia, wyglądając jak czupiradło z obłędem w oczach, stanął przed ladą on. Nogi pode mną się ugięły i pomyślałam, dlaczego teraz? Nie wiem, skąd wiedziałam co chce kupić, nie słyszałam ani jednego słowa, które do mnie mówił, a jednak, wiedziałam co podać. Ręce mi się trzęsły, gdy pakowałam towar do torby. Aby tylko tego nie zauważył, myślałam spanikowana. Wzrok miał wbity we mnie i tak miło się do mnie uśmiechał. Najmniej tego potrzebowałam. Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy sobie pójdzie. Wreszcie, kiedy to zrobił, dopadłam lustra. Odbicie dało mi odpowiedź. Jednym słowem wyglądałam strasznie. Włosy w nieładzie, rozmazany makijaż, ogólny paraliż. Kim był, nie miałam pojęcia. Nawet mnie to nie obchodziło. Widziałam go tylko kilka razy i zawsze tak reagowałam. Był typem faceta nie w moim guście, więc ki diabeł ta moja reakcja? Jak później się dowiedziałam, było ich dwóch. Kto by pomyślał – bliźniacy. Który z nich powodował we mnie tak dziwne zachowania, nie dowiedziałam się nigdy.

* * *

Zaczęłam dygotać z zimna. Spojrzałam na przeciwległą ladę, gdzie jeszcze przed chwilą stały dwie klientki, ale nikogo już tam nie było. Za to drzwi do sklepu stały otwarte na oścież. Zamek się w nich zacinał i kiedy wiał mocniejszy wiatr, same się otwierały. W radiu zamiast muzyki słuchać było jakiś idiotyczny konkurs, na którego pytania mogło odpowiedzieć dziesięcioletnie dziecko, a nie ludzie dorośli. Zmieniłam stacje, bo nie mogłam słuchać ich kompromitacji w stylu: panie redaktorze, a może tak mała podpowiedź? Gdzieś między papierami zabrzęczała komórka. Niechętnym ruchem wyjęłam ją i spojrzałam kto dzwoni.

- No tak, kolega małżonek - pomyślałam. - Wolałabym tonę węgla przerzucić, niż z nim rozmawiać.

Zaczekałam jeszcze kilka minut i sygnał ustał. Telefon od Wacusia źle mi się kojarzy. Kiedy pracował w Niemczech, miałam z głowy wszystkie wieczorne filmy, bo tę porę sobie zawsze wybierał, aby ze mną porozmawiać. Właściwie to nie były rozmowy, ale pretensje do całego świata i ciągłe użalanie się nad sobą. Musiałam go pocieszać, tłumaczyć. Owocem tego dialogu były niewyobrażalne rachunki, ale czegoś mnie nauczyły. Zlikwidowałam telefon stacjonarny, a komórki na abonament poszły w zapomnienie. Teraz każdy sam płaci za siebie.

Wacusz od wielu lat zapomniał o mnie jako kobiecie i żonie. Potrzebna mu byłam jedynie do rozwiązywania problemów, sprzątanania, gotowania. Upodobał sobie sypialnie jako pępek świata i tam całymi godzinami leżakował, jadł i oglądał seriale, takie życiowe - jak je sam określał. Co pewien czas jednak wychodził ze swego legowiska ku niezadowoleniu całej rodziny. Milkły na ten czas wszystkie rozmowy i robiło się pusto. Najtrudniej miałam ja. Wspólnie dzieliliśmy sypialnie i co jakiś czas, choć nie miałam na to ochoty, musiałam do niej wracać. Dwoiłam się i troiłam, aby wszystko przebiegało bezboleśnie, ale jakieś zgrzyty zawsze były. Wyglądało to mniej więcej tak:

- Cześć kochanie! - witałam moją póki co drugą połowę, którą nazwaliśmy „ten, który pilnuje sypialni”.

- Wreszcie jesteś - odpowiedział trzymając w ręku swój ulubiony przedmiot, pilot od telewizora. Na moment jego wzrok wędrował w moją stronę. I to było wszystko. Więcej uwagi mi nie poświęcał. Mogłam wejść w worku na głowie, piżamie czy też bez, dla niego ważniejszy był przyciski pilota telewizyjnego. Nawet jak spał, z trudem się z nim rozstawał. Zmienił kanały jeden na drugi nieustannie.

Przyglądałam się chwilę scenie na ekranie. Może to być niezły film - pomyślałam - i już chciałam to powiedzieć, ale nie zdążyłam. Następny guzik został wciśnięty, a po chwili kolejny i znów kolejny. Miałam dość! Postanowiłam wyjść. Naciskając klawiskę, usłyszałam:

- Boli mnie głowa, niech mi ktoś przyniesie herbatę i tabletkę. Po tej pomidorówce znów mam zgagę.

- Ten ktoś, czyli ja - pomyślałam z przekąsem.

Słowo „zgaga” dotarło do mnie po chwili, kiedy zamykałam już drzwi.

* * *

Wpisałam na kartkę zmarzniętymi rękoma to, co dziś sprzedałam. Wolałam nie komentować nawet sama przed sobą, co o tym myślę. Koniecznie potrzebna mi była chwila relaksu. Z wyrzutami sumienia sięgnęłam po papierosa. Po chwili biały dymek unosił się wokół mojej głowy. W nim było moje zdrowie i pieniądze. Ileż to lat już walczyłam z nałogiem i ciągle przegrywałam. Nawet metoda, która ponoć była niezawodna, nie podziałała. Kosztowała 70 złotych. Potocznie mówiono na nią „komputerowa”. Rozumiem, może człowiek mieć nadal chęć na papierosa, ale żeby aż tak. Miałam większą po tej metodzie niż przed. O niczym innym nie myślałam. Zjadałam wszystko, co było w zasięgu wzroku. Papieros jawił mi się we wszystkich możliwych momentach. Przetrwałam kilka godzin i skapitulowałam. O tabletkach, gumach i plastrach antynikotynowych nie wspomnę. Pozostała mi akupunktura lub hipnoza. O tych metodach pomyśle później.